№ 30. Warszawa, dnia 12 (25) Lipca 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

WIKTOR HUGO.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

W innym zbiorze pod tytułem: „Cztery prądy ducha ludzkiego", poeta stawia paralellę między wichrami szumiącemi w powietrzu, a szalonym uraganem miotającym duszą poety. Po szumnym wstępie na cześć czteroskrzydlatej poezyi, Hugo wyprowadza na scenę rogatego Satyra, który gradem siarczystych pocisków sypie na wszelką władzę, urąga szkołom i profesorom. Sorbonę zowie miejscem zapowietrzonem, mistrzów jej nieukami. Drugi wicher napędza dramat, przedstawiony w dwóch ułamkach tragedyi i komedyi. Następuje wicher epiczny, uwydatniony w jednym tylko poemacie, p. t. „Rewolucya".

Noc zapadła: wściekły uragan napędza czarne chmury; błyskawica rozjaśnia przelotne szczyty Maryańskich wieżyc. Arkady mostów trzeszczą, gmachy wstrząsają się w posadach. Paryż śpi, drżący od grozy, pijany krwią i szałem. Terroryzm rozpasał się w mieście, co dnia pochłania setki ofiar.

Poeta ukazuje na nowym moście, konny posąg Henryka IV. Z pogwizdem uraganu głos tajemny szepnął do spiżowego olbrzyma:

„Idź, zobacz żali syn twój na miejscu jest jeszcze!"

I olbrzym porusza się, biegun posłuszny woli pana, zstępuje z piedestału; siecią pustych ulic zwolna sunie na plac królewski do posągu Ludwika XIII-go.

Wprost posąg do posągu wśród ciemności kroczy,
Ten co szedł, staje nagle, wlepił bystre oczy,
Ku tamtemu, co smętny, z źrenicą przymgloną,
Duma, pół osłonięty ciemną drzew koroną;
Do męża kamiennego rzecze mąż spiżowy:
— Synu mój, chodź-że ze mną, przerwij sen gro- [bowy,
Zobaczmy żali syn twój na miejscu jest jeszcze?

I mąż kamienny, z mężem spiżowym, suną do posągu Ludwika XIV. Minęli straszne zwaliska Bastylii, stają pod wykutym z bronzu olbrzymem, budzą go i wszyscy trzej ciągną wzdłuż tuilleryjskiego ogrodu, na wielki plac, gdzie niegdyś Ludwik XV uczczony był pomnikiem.

Tajemniczo kopyta o bruk zatętniały,
Suną dwaj czarni jeźdzce, z nimi jeździec biały.

Nagle spostrzegli dwa czarne słupy i trójkąt wykuty ze stali. To gilotyna!

Przemkła w nocnym pomroku, głowa trupio-blada,
Krew grubemi kroplami z szyi ściętej spada,
Wtrzęśli się trzej mężowie. Dziad nasrożył lice,
Oburącz za żelazną pochwycił szablicę,
Oczy mu żarem płoną i olbrzym spiżowy,
Głuchym ozwie się głosem do uciętej głowy:
— Jakież były twe zbrodnie, że lud pomsty [szuka?
Głowa na to: — Jam, panie, wnukiem twego [wnuka!
— Zkąd idziesz?
— Idę z tronu! zła dla nas godzina.
— Zmoro! mówże co znaczy ta straszna machina?
— To kres nasz! z głuchym jękiem głowa mu od- [powie.
— Mów któż ją tu zbudował?
— Wy, moi ojcowie?

Jeśli trzej Ludwikowie podkopali tron Burbonów, bądź niedołęztwem, bądź wyuzdaniem w zbytkach; jeśli oni zbudowali gilotyny, godziż się oskarżać o to Henryka IV-go, drogiego po dziś dzień Francuzom? Wiktor Hugo surowszym się okazał od samychże Robespierów i Maratów, którzy zburzywszy na placach paryzkich pomniki przypominające dawny porządek, pomnik Henryka tylko zachowali na nowym moście. Budował że gilotynę dobry król, który, jak mawiał, wówczas tylko mógłby nazwać się szczęśliwym, gdyby najuboższy z jego poddanych, miał co niedziela kurę w garnku. Budował-że gilotynę król, który podniósł Fran-

cyą z poniżenia, w jakiem pogrążyli ją smutnej pamięci ostatni Walezyusze? Budował-że ją ów król, przyjaciel Sullego, który z tym mężem stanu, powziął genialną myśl utworzenia wielkiej federacyi państw europejskich, gwarantujących solidarnie wspólne bezpieczeństwo?

Pocisk wymierzony w oblicze najpopularniejsze go z królów Francyi, rzuca cień na całą epopeę; nie okupiły jej rozsiane tu i owdzie błyszczące rzuty pióra!

Po tych palących uraganach, powiewa wreszcie wiatr liryczny. „Jam magnesem przyrody, woła upojony pychą poeta, moja dusza przebiega olbrzymią jej gammę. Jam żywym psałterzem, na lirę moją, poruszaną tchnieniem Zoroastrów, padło niegdyś siedm nut z siedmiu promienistych, gwiazd Septentrionu. W liczbie tych pięćdziesięciu kilku pieśni lirycznych, znaleźliśmy kilka nastrojonych na rzewną i pełną wdzięku nutę. Pieśni zwłaszcza wyśpiewane na wyznaniu, zalecają się prostotą, znać wypłynęły z głębi duszy. Jakaż to prawda, w tem smutnem ostrzeżeniu.

O! tułacze! wygnani ze mną w cudze strony,
Bądźmy jak Trazeasze, bądźmy jak Katony;
Niech widok obcych ludzi nie chmurzy nam oka,
Bo przepaść od tubylców dzieli nas głęboka.
Oni tu, w gnieździe własnem, my przelotne ptaki,
Od czasów Arystyda los nasz był jednaki;
Wygnanie to zagadka, widmo tajemnicze,
Jeżeli nikt nam dotąd nie plunął w oblicze,
Bądźmy i za to wdzięczni!

A ileż-to tęsknoty w owej pieśni wyśpiewanej z dala od gniazda:

Tułaczu! widzisz te róże,
Maj nam je przyniósł bogaty,
Słoneczko przyświeca w górze;
Tułaczu! spojrzyj na kwiaty!

— Ja dłońmi w kraju własnemi,
Sadziłem róże radosny,
Tu zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!

Tułaczu! spojrzyj na groby,
Maj w bluszcz je wieńczy na nowo,
Gołąbek jękiem żałoby,
Kwili umarłym nad głową.

— Jam łzami groby rzewnemi,
Zlewał sierota żałosny,
Tu zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!

— Tułaczu! spojrzyj na drzewa,
Słyszysz pisklątek szmer głuchy,
Wiosna do lotu odziewa
Skrzydełka miękiemi puchy.

— Tam z gwary ptasząt słodkiemi,
Szumiały dęby i sosny,
Tu zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!

Na tęż samą nutę pobrzmiewa inna, niemniej smętna piosenka.

Gdybyż w ogródku mym wiosną,
Widzieć kwiat swojskich jabłoni,
Jak niegdyś pląsać radosno
Po błoni!

Gdybyż tam, drodzy rodzice,
Syn nieutulon w żałobie,
Łzawe ukazał wam lice
Na grobie!

Gdybym mógł syty boleści,
Pod trumnę co was przygniata,
O, bracia! szepnąć wam wieści
Ze świata.

Gdybym mógł, gołąbko biała,
Co górą latasz nad nami,
Drogi proch twojego ciała
Zlać łzami.

Uklęknąć przy tej, co drzemie,
W cichej mogile pod darną,
I usty całować ziemię
Cmentarną!

Jak ptak na suchej gałęzi,
Za wami tęsknię i płaczę,
Smutny los kroki me więzi,
Tułacze!

Źle iść bez rosy, bez słońca,
Gdy żałość serce nam bodzie,
Lecz tułacz wytrwa do końca
W pochodzie!

Niemniej rzewna i pełna prostoty inna pieśń, skreślona widocznie ręką starca:

Zapóźno w krasne barwy stroisz się stokrotko,
W chmur kłębach ciążą wichry i śnieżne zawieje,
A ty z pod zżółkłej trawki spoglądasz tak słodko,
— Przechodniu! idzie zima, ja się do niej śmieję!

Zapóźno, już gwiazdeczka nad uśpioną ziemią,
Twoje czoło tak cudnym blaskiem promienieje,
Kiedy w zmierzchu wieczornym twoje siostry [drzemią,
— Przechodniu! noc nadchodzi, ja się do niej [śmieję.

Zapóźno, duszo moja, uwikłana w sidła
Na czarnych zgliszczach życia uganiasz nadzieję,
Czas-że jeszcze do lotu rozpościerać skrzydła?
— Przechodniu! śmierć nadchodzi, ja się do niej [śmieję!

Jakoż śmierć zbliżała się pomału, ale zanim nadeszła, Paryż sypnął tysiącem wieńców pod nogi poecie. W roku 1881, gdy Wiktor Hugo zaczynał rok ośmdziesiąty, pięćkroć sto tysięcy ludzi przedefilowało przed oknami jego domu, przy dźwiękach Marsylianki. Owacya miała przeważnie polityczny charakter. W tym tłumie było bezwątpienia wielu gorących wielbicieli, było tam wiele matek pochwyconych za serce rzewnemi zwrotkami, w których poeta umiał oddać cały urok niewinności dziecięcej; było tam wielu poetów, którzy w Wiktorze Hugo widzieli mistrza i przewodnika swego, wielu patryotów, których pieśń jego pobudziła do czynu, wielka jednak większość manifestujących cześć swoją, popchniętą była przez politycznych menerów. Pragnęli oni uczcić w Wiktorze Hugo, nie tyle twórcę Hernaniego i naczelnika romantycznej szkoły, jak raczej obrońcę wygnanych komunardów, głównego promotora amnestyi, wreszcie autora tylu bluźnierczych i skandalicznych pamfletów, kreślonych od lat dwudziestu wierszem i prozą, tylu panegiryków rzuconych w oczy tłumom!

Takież samo znaczenie miała pogrzebowa uroczystość w dniu 1 Czerwca roku bieżącego. Znaczenie tej manifestacyi, tem donioślejsze, tem ważniejsze w następstwa, że kierował nią rząd francuzki i wycisnął na niej pieczęć swej bezbożności. W chwili, gdy to piszemy, tysiące wieńców zaściela jeszcze przedsionek Panteonu, w którego sklepieniach spoczywa trumna poety, obok trumny Woltera!... ale na frontonie przybytku, nie świeci już ów krzyż, który Hugo ukazywał niegdyś jako jedyną kotwicę rozbitkom, zabłąkanym na manowcach żywota, wołając na nich w pełni geniuszu, z całą potęgą wiary:

Zbliż się biedny łazarzu, w nim otucha twa;
Chodź przechodniu, ty miniesz, a on wiecznie trwa!

I MIEJŻE TU ROZUM.

OBRAZEK

PRZEZ

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA"

(Alberta Wilczyńskiego.)

(Dokończenie.)

Zapomniała Ludka o swoich sprawunkach, bo odprowadziła mnie aż pod samą kamienicę, gdzie mieszkamy, przekładając, że ja nie powinienem zgodzić się na zrywanie stosunków familijnych, że to złe wrażenie zrobi między znajomymi, że Sewerynowa będzie widziała we mnie przeciwnika, jednem słowem podług jej zdania: powinienem wpłynąć energicznie na pogodzenie się Muni z Macochą i to czem prędzej tem lepiej, niech wróci do domu, przeprosi, czy tam w inny sposób zrobi krok pierwszy i rzecz skończona.

Zbudowany zostałem takim rozsądkiem Ludki, bo i ja tak samo myślałem. Przecież ludzie się kłócą i godzą, a tu dalibóg nie było nawet ważnej przyczyny do zrywania stosunków. Z tą też myślą o zgodzie wchodzę do domu i zapraszam ciotkę Eufemię na konferencyę. Prawie temi samemi słowami, któremi Ludka przemawiała do mnie, (bo jej poglądy zgadzały się z mojemi), rozpocząłem rzecz przed ciotką. Chwilami sdawało mi się nawet, że mówię z zapałem oratora; motywa moje w dziwnie przekonywający sposób, same płynęły z ust i niby młotem kowalskim popierały ważne argumenta.

Skończyłem, czekając objawu przychylnego wrażenia ze strony ciotki, lecz ona zwykle niepowściągliwa w gadatliwości, tym razem milczała, uśmiechając się gorzko.

— Widziałeś się z Salomeą? (t. j. z bratową)— pyta mnie sucho.

— Nie.

— Eh! bo to prawda?

— Daję słowo honoru.

— Więc z Sewerynem?

— Był u mnie w biurze...

— Domyśliłam się... przerobili cię.

— Moja ciociu — rzeknę na to głosem nieco

podniesionym — ja nie jestem gliną, albo ciastem, któreby można przerabiać. To jest wyłączne moje przekonanie, od którego nie odstąpię.

— Tak, choćby bratankę swoją, niby to faworytkę, biedną, opuszczoną sierotę mieli z jej własnego domu wyganiać. Najlepiej zasłonić się przekonaniem, przyzwoitością i niech panienka mająca lat dwadzieścia skończonych, idzie, upokorzy się przed fanaberyą kobiety obcej dla niej, która jej zabrała serce ojca... Jasiu, Jasiu! — mówi dalej ze smutnym wyrzutem — nie myślałam że jesteś tak dalece egoistą!

— Przepraszam, dałem dowód, że nie jestem egoistą.

— Tacy wy wszyscy pod pozorem zasad.

— A niechże mi ciocia da pokój z temi wyrzutami — przerwał urażony. — Cóż więc chcecie?

— Nic nie chcemy, kto z góry jest uprzedzony przeciw komuś, to na nic się nie zdały żadne perswazye.

Rozmowa ta zaczęła mnie irytować, więc dalejże nalegać i prosić, żeby ciocia objawiła swe zdanie.

— Najlepiej niech powie sama Munia... Muniu, proszę cię Muniu! — woła otwierając drzwi do sąsiedniego pokoju — chodźno tu...

Munia widocznie była tuż na poczekaniu, bo zjawiła się z miną dziewczyny przygnębionej i zdecydowanej na wszystko, a za Munią weszła i Polcia młodsza córka cioci.

— Stryjaszek jest zdania — rzecze tonem sędziego, ogłaszającego wyrok winowajcy — żebyś przeprosiła macochę i wróciła do ojca.

— Ależ... — zaczynam mówić.

— Za nic w świecie! — zawołała winowajczyni z zapałem, który wywołał rumieniec na jej blade policzki. — Za nic, stryjaszku... Ja na tą kobietę patrzeć nie mogę!

— Dobrą radę Jaś daje, nie ma co mówić! — dorzuca w sposób ironiczny Polcia.

— Za pozwoleniem — mówię — niechże ja się wytłomaczę.

— Stryjaszek wypędza mnie także od siebie — przerywa mi znów Munia. — Dobrze, ja pójdę zaraz, natychmiast... Bóg przecie da mi gdzieś przytułek, choćby ostatni...

Łzy puściły się z jej oczu, które poczciwa ciocia swoją własną chustką zaczęła obcierać, przykładając chustkę także i do swej twarzy...

Przyznaję, że coś mi się niedobrze zaczęło robić koło serca. Ah te nerwy moje, te kobiece nerwy, nigdym ich tak nie błogosławił jak w tej chwili.

— Moje dziecko — rzeknę, biorąc rękę Muni — przecież ja cię nie wypędzam, niech mnie Bóg skarze, jeśli taka myśl kiedy mi przyszła. Sądziłem tylko, że pozbo wam o drobnostkę... że to chwilowe nieporozumienie.

Dalsze słowa zaczęły mnie już dławić w gardle, a ręce mimowoli przyciągnęły do siebie płaczącą Munię, która, muszę to przyznać, w dziwnie miły sposób objęła mnie za szyję, a ja jeszcze w więcej dziwny i miły, pocałowałem ją raz i drugi w czoło.

— Wiedziałam, że się tak skończy! — odzywa się patrząc na to rozkosznie uśmiechniętemi oczyma ciocia.

Ten Jaś, to niby ja, ma takie serce jak nikt w świecie...

— A dopiero ciocia powiedziała, żem egoista...

— Cóż chcesz, w gniewie, to dużo się powie niepotrzebnych rzeczy, ale zapomnij o tem... Mówisz, że małe były nieporozumienia między niemi. Jakże nie znasz kobiet, jak one potrafią drobnemi ukłuciami, doprowadzić kogo chcą do wszelkiej ostateczności. Gdybyś posłuchał co Munia opowiada, jak to tam płynie im życie, jak ten biedny Seweryn odsuwany jest od dzieci, jak na każdem kroku pani Salomea daje poczuć tym biednym dzieciom, że one są sierotami.

— A taka wydaje się rozsądna i dobra — przerywam zdumiony podobnemi wiadomościami.

— To tak się zdaje, mój Jasiu, przy ludziach. Wystaw sobie, biedne dziecko, kawałka chleba nie może wziąć sama z kredensu, tylko zaraz idź po kluczyki do pani macochy. Ho, ho, dobrze to ludzie mówią, że najlepsza macocha gorszą jest od...

Nie dokończyła ciocia, bo widziała, że przykro mi słuchać takich rzeczy, dlatego też przerwałem:

— No to zostań Muniu, u nas dokąd chcesz, bo nawet i ojciec o to prosił.

— Poczciwy ojczulko — dodaje Munia — on jak jest za oczami macochy to zawsze nas kocha.

— Tylko — mówię dalej — nie będzie ci u nas wygodnie. Nas tyle osób, mamy trzy pokoiki nie wielkie, tam miałaś sama swój kącik.

— Nie obawiaj się — rzecze ciotka — już ułożyliśmy wszystko. Na dole w tej kamienicy mieszka suplement gimnazyalny.

— Mameczko, suplent—przerywa Polcia.

— Wszystko jedno, suplement czy suplent.

— Jak mamę kocham nie wszystko jedno.

— Proszę cię nie przerywaj mi i nie ucz starszej od ciebie. Jak go tam zwali to zwali, ma pokój z oddzielnem wejściem, który najmuje miesięcznie. Ty się znasz dobrze z gospodarzem kamienicy, proszę cię, idź do niego i zrób to, żeby mu wypowiedział od pierwszego... Dziś czternasty i tam osadzimy Ludkę... Do 1-go będziemy się cisnąć tutaj, a potem ona się tam sprowadzi a u nas się będzie stołowała.

— Kiedy to jakoś młodej pannie samej... tego...

— No, no, nie kłopocz się, ja wiem co wypada lub nie wypada... tylko idź zaraz da gospodarza... Ludka powiada, że ojciec przeznaczy jej pewną kwotę miesięcznie na jej utrzymanie...

— Możeby lepiej było, żebym ja się na dół sprowadził — odzywam się uszczęśliwiony, że mi się uda choć tym sposobem mięć swój kąt spokojny.

— A ja na to nie zezwolę!—zawołała Ludka — żeby stryjaszek miał dla mnie robić sobie tyle subiekcyi.

— I my się nie zgadzamy! — zaprotestowały naraz ciotka i Polcia. — Jabym—dodaje ciotka— pół dnia bez ciebie nie wytrzymała... jabym się urwała...

No i miejże tu odwagę, człowiecze, pomyślałem w tej chwili, wytłomaczyć tym kochającym istotom, że właśnie byłoby to dla mnie najwyższem dobrodziejstwem, prawdziwą rozkoszą. Zamilkłem.

Przywalony takim ciężarem miłości i ofiary nie pożądanej z ich strony, a zjadłszy naprędce talerz rosołu, pobiegłem do gospodarza domu, mieszkającego na drugiej ulicy, o wyrugowanie pana suplenta z parterowego pokoju.

Przez drogę, już wytrzeźwiony z wrażenia deklamacyi Ludki, nabrałem przekonania, że ciotka ma więcej racyi. Oto dowód, jak nigdy poważniejszemu człowiekowi nie wypada iść za pierwszym popędem swych myśli. I Seweryn będzie miał spokój i Munia uniknie drobnych nieprzyjemności z macochą, o które przy podobnie naprężonych stosunkach zawsze nie trudno. Jestem przekonany, że teraz dopiero się pogodzą i pokochają, bo niech tam co chce mówi ciotka, Salomea jest bardzo porządną i rozsądną kobietą. Ma swoje drobne wady, jest prędką trochę, ale też i Munia ma swoje.. Zresztą będzie pod opieką naszą... A jak ona umie się tulić... Hultaj dziewczyna, chociaż to niby takie skromne, nieśmiałe... aj kobiety, kobiety, z was każda już od urodzenia jest kokietkę.

Gospodarza w mieszkaniu nie zastałem, powiedziano mi, że poszedł do kawiarni na bilard. Idę do owej kawiarni, powiadają, że dopiero co wyszedł na posiedzenie rady miejskiej. Pędzę do ratusza, chcę go wywołać, akurat ma mowę pełną ognia i werwy o szkodliwości wyższej edukacyi dla kobiet. Właśnie wtenczas szła sprawa o założeniu gimnazyum żeńskiego we Lwowie, a mój gospodarz przeciwny był tego rodzaju, jak mówił, komedyom inteligencyi tutejszej. Czekając nim skończy, zasłuchałem się i powiem prawdę czułem się uniesionym potokiem dosadnych i jak wół racyonalnych argumentów, że gotów byłem podpisać się z nim razem na to, aby kobietom zakazać pod karą aresztu, wszelkiego nawet na książce od nabożeństwa czytania, a za napisanie jakiegobądź dajmy na to listu, karać co najmniej ucięciem ręki... Niech się modlą z różańca lub koronki a będą skromniejsze i nie będą nosić korków u trzewików i kłócić się między sobą. Dlatego też, gdy skończył mój gospodarz, a skończył już po ósmej, powinszowałem mu szczerze wybornej mowy, co dopomogło mi, że zgodził się na wypowiedzenie mieszkania suplentowi od pierwszego i przyjął jako zadatek, miesięczny czynsz z góry, ma się rozumieć wyższy o dwa guldeny niż dotąd pobierał. Szczęśliwy tedy, że tak mi się wszystko udało, wracam poświstując „Torreadora". Dzwonię do drzwi, otwiera mi kucharka.

— Cóż tak cicho? — mówię do niej — czy panie gdzie wyszły?

— Nie, są u pana w pokoju.

Niezdejmując kapelusza, pełen ferworu, że przynoszę pożądaną nowinę, walę wprost i już we drzwiach wołam:

— No, cieszcie się moje panie, pokój od pierwszego. .

Nie dokończyłem, bo język kołkiem mi stanął. I jakże nie miał stanąć, jeżeli spojrzawszy przed siebie zobaczyłem wprost, na kanapie siedzącą... kogo? panią Salomeę bratowę moją, a tuż obok niej ciotkę Eufemię, a na stołeczku u nóg ciotki poczciwą faworytkę Munię z opartemi rękami na kolanach macochy.

Myślałem, że padnę trupem ze zdumienia; wszystkiego mogłem się spodziewać, ale tego co zaszło teraz nie. Widocznie, że spostrzegli to Seweryn i ciotka, bo naraz oboje przystąpili do mnie.

— Pogodziły się — szepnie z jednej strony braciszek, ściskając mi rękę.—Chwała Bogu, już zgoda — mówi z drugiej strony ciotka.

Nie miałem odwagi zbliżyć się i przywitać z Salomeą, tak mi to wszystko niejasnem, nieprawdopodobnem się wydało, więc w dalszym ciągu rozpoczętego frazesu mówię do ciotki:

— Od pierwszego nająłem...

— Czegoześ się tak spieszył? — rzecze z wymówką.

— Jutro piętnasty, musiał suplentowi wypowiedzieć... dziwna rzecz jak wy jesteście...

— No cóż, chciałbyś, żeby się wiecznie gniewały! — przerywa z perswazyą ciotka. — Przyszła pierwsza, podała jej rękę.

— A widzi, ciotka, nie mówiłem, że to porządna i z taktem kobieta...

— Któż zaprzecza, że nie.

— Jakto? cóż ciocia przed kilku godzinami mówiła?...

— Et, chciałeś żeby się z każdem słowem rachować... A wiesz kto to zrobił?

— Pan Bóg czy dyabeł? bo ja wiem...

— Nie, to Ludka — szepnie do ucha, wspinając się na palce...

— Jak się dowiedziała, tylko mój drogi, na wszystko cię proszę nic jej o tem nie mów, bo ona wiesz taka ambitna.

— Dobrze, dobrze — przerywam nawiasowe zdania — cóż było?

— Jak się dowiedziała, że chcemy „suplementa” forować z mieszkania, tak ubrała się zaraz, pobiegła do Sewerynostwa i sprowadziła ich tutaj...

— A cóż ma suplent do tego, dalibóg głupieję.

— On się ma do niej, mój drogi, tylko sza, i ona, uważasz... No co tu więcej mówić, nie chciała żeby się wyprowadzał... i ja jestem rada, że tak się stało, bom także o suplemencie nie wiedziała...

Zbliżyłem się wreszcie do Sewerynowej, która widocznie miała żal do mnie i siedziała chmurna...

— Cieszę się bardzo, nie uwierzy pani, jak się cieszę...

— Ale ja nie mam się czego cieszyć, bo przekonałam się, że mnie pan Jan nie zna jeszcze...

— Jak panią szanuję, ja tu nic nie winien, to wszystko zrobiły kobiety...

— Czy to nas pan Jan nie zna?

— Daję słowo honoru nie znałem, ale teraz już będę znał...

I prawda, że będę znał najdalej do jutra, bo się ten jeszcze nie urodził, któryby sobie dał patent, na dłuższe znawstwo. Z kobietami, szanowni słuchacze, jest tak jak powiedziałem w tytule, że nikt nie może sobie przyznać, aby miał tyle rozumu, ile go potrzeba na zbadanie ich charakteru.

DWA LISTY Z AFRYKI.

PRZEZ

J. Hanningtona.

LIST I.

Podróż przez morze Czerwone udała mi się pomyślnie i szczęśliwie stanąłem w Zanzibarze. Zanzibar albo Zanguebar jest-to kraj ciągnący się długiem pasmem na wschodniem wybrzeżu Afryki od samego równika i ginący w nieznanych jej przestrzeniach zachodnich. Kraj to mało znany, wybrzeże tworzy równinę bagnistą a w części piaszczystą, po za którem wznosi się pasmo gór coraz wyższych.

Klimat nizin dla zbytnich upałów i wyziewów z bagien, nader szkodliwy, staje się coraz zdrowszym w miarę zapuszczania się w głąb kraju. Wybrzeża od bagnisk ku górom idące, gdzie niema piasków, wielce są urodzajne i gęstemi pokryte lasami, wydają one zwykłe Afryce płody a między niemi, mirę, ambrę, heban i trzcinę cukrową.

Na równinach znajduje się tu mnóstwo słoni a w górach złoto, kość zatem słoniowa i złoto w proszku, stanowią dwa ważne artykuły handlu wywozowego.

Z Europejczyków najdawniej osiedli tu Portugalczycy, Anglicy zaś znacznie później, bo dopiero w początku bieżącego wieku.

Ludność złożona z Negrów zostaje pod władzą własnych, lub arabskich książąt.

Ulice Zanzibaru jak wszystkich miast Wschodu są wązkie i bardzo kręte i mają tak wstrętną powierzchowność, że zrazu każdy się obawia w nie zapuścić, ale doświadczenie okazuje wkrótce, że nie ma tam żadnych niebezpieczeństw, z wyjątkiem zabójczych woni, rozchodzących się w około. W sklepach widzimy ze zdumieniem, że kupcy po większej części są nie murzyni, lecz indyanie: nie poddani sułtana Zanzibaru, lecz królowej angielskiej i cesarzowej Indyi.

Towary ich nie nęcące: po większej części tanie wyroby Birminghamu i Manchestru.

Na końcu miasta mieści się afrykańska dzielnica, w której leżą stosami na ziemi banany, pomarańcze i różne inne owoce. Przez uchylone drzwi jednego z domów, widać wielbłądy, obracające poważnie koła machiny, wyciskającej olej z krajowych orzechów, który zapewne zostanie sprzedany potem jako najprzedniejsza włoska oliwa. Po za miastem czarujący widok zachwyca nasze oczy. Ciemnolistne mangowe drzewa, winograd, cytrynowe i pomarańczowe gałki, banany o szerokim liściu i pierzaste kokosowe palmy, rosną gęsto jak w lesie, ananasy tworzą szpaler na obu stronach drogi, gdzieniegdzie zaś znajdują się grupami nakształt ogrodowych klombów. Śmielibyście się, widząc wuja wdrapującego się na kokosowe drzewo, a następnie walczącego rozpacznie z twardą i włóknistą powłoką, pokrywającą orzech; ja tymczasem zostawiam was nad tym orzechem, a sam pośpieszam, żeby zdać sprawę z przyjęcia u jego królewskiej mości sułtana Bargash-Bin-Saida, szlachetnego i energicznego władcy Zanzibaru.

Pałac jego położony jest na dużym placu, z oknami wychodzącemi na zatokę, na której wodach kręcą się liczne statki. Do tego pałacu o naznaczonej godzinie, wprowadził mnie konsul angielski, pułkownik Miles, w towarzystwie kapitana marynarki angielskiej, Jana Hore, który wraz ze mną miał być przedstawiony. Straż przed pałacem salutowała nam, sułtan uścisnął nas serdecznie za ręce i kazał iść za sobą. Weszliśmy po schodach prawie prostopadłych do małego saloniku, gdzie nas posadzono na fotelach, obitych żółtym atłasem. Natychmiast służba przyniosła kawę w szklanych czarkach, pięknie w złoto oprawnych. Cóż to była za kawa! Wy nie znacie się na tem jeszcze. Ale na czem poznalibyście się lepiej, to z pewnością na mrożonym sorbecie, który podano następnie. Doznalibyście jednak przykrego zawodu, gdyż po wypiciu maleńkiego łyku, albowiem nie wypada pić dużemi haustami w obec ukoronowanych osób, służba zabrała całą zastawę i spiesznie wyniosła.

Potem rozmowa potoczyła się żywo. Sułtan interesował się naszą wyprawą, zadawał mnóstwo pytań dotyczących sposobu odbywania podróży, na jak długo się wybieramy i rozpytywał się najbardziej o węża w Ugogo, o którym doszły go wieści, jakoby miał pożreć wielką liczbę wołów, kobiet i dzieci. Ubranie króla było takie jakie noszą na codzień zamożni Arabowie: długa, czarna szata przerabiana srebrem, zwyczajny zawój, piękny pas, za który zatknięte były dwa prześliczne roboty puginały: a na pierwszym palcu u ręki miał wspaniały pierścień.

Gdyśmy powstali, podniósł się również z siedzenia, odprowadził nas na plac przed pałacem i pożegnał uprzejmie.

Potem, musiałem się zająć upakowaniem pospiesznem moich rzeczy w paczki nie przechodzące wagi pięćdziesięciu funtów i zająć się najęciem tragarzy, gdyż z powodu dokuczliwych tutejszych much, niepodobieństwem było posługiwać się zwierzęta mi do przewiezienia pakunków.

Tragarze są tu dwóch narodowości: *Wanguana*, czyli nadbrzeżni mieszkańcy Zanzibaru, i *Wanyamwazi*, to jest mieszkańcy krainy księżycowej, obszernego państwa położonego na południe od Wiktorya-Nyanza.

Jednocześnie najęliśmy arabski statek zwany „Dhow”, mający nas przewieźć z Zanzibaru do małej mieściny Sedaani. Upakowaliśmy się o ile tylko się dało najściślej, podnieśli kotwicę i wprędce przybyli do brzegów, koło których ciągną się ławy koralowe i tam osiedliśmy na mieliźnie, skutkiem czego nasz stary statek o mało co nie rozpadł się w kawałki.

Podczas, gdy część załogi popłynęła do lodu małem czółnem, ja nie pomnąc na rekiny, zrobiłem zawiniątko z ubrania i wskoczyłem do wody; w ten sposób dostałem się na ziemię, noszącą na sobie ślady stóp Livingstona i jego sławnych następców. Przyznaję, że było to nieostrożnie, ale uniósł mnie zapał łatwy do pojęcia przez tego, kto życie swoje poświęcił dla sprawy Afryki.

Nie będę się zastanawiał nad przyjemnościami i niewygodami pierwszych chwil naszego życia pod namiotem: sądzę, że wszyscy spali dobrze, zwłaszcza że tylko jedno łóżko rozpadło się tej nocy.

Cały dzień następny zeszedł nam na porządkowaniu i układaniu naszych pakunków i dopiero 30 Czerwca wyruszyliśmy w głąb kraju, było nas siedmiu europejczyków i około 500 tragarzy i służby.

Muszę wam dać krótki szkic drogi, którąśmy mieli przebyć od wybrzeża, aż do jeziora.

Kraj ten został trafnie podzielony przez znakomitego afrykańskiego podróżnika Burtona, na pięć różnych okręgów. Pierwszy okręg stanowi wybrzeże, leżące pomiędzy oceanem Indyjskim i łańcuchem gór rozciągających się od Abisynii do jeziora Nyassa. W tej stronie znajduje się mnóstwo rzek i pozór kraju nie różni się od europejskich krajobrazów. Drugi okręg stanowi właśnie wzmiankowane przez nas pasmo gór, bardzo malowniczych. Wśród nich znajdują się dwie misye w kwitnącym stanie, *Manaboża* i *Mpwapwa*.

Po za górami zaczyna się trzeci okręg i gęsto zaludnione równiny dzikiego *Ugogo* i dwie czy trzy prawie bezludne i bezwodne płaszczyzny. Czwarty okręg stanowi kraina *Wanyomwezi*, którą zamieszkują handlarze i co za tem idzie, podróżnicy, plemię księżycowe: tu znowu mamy swoją stacyę *Vyni*. Nakoniec piąty okręg, wielkie jezioro, wspaniała *Wiktorya Nyanza*.

W początku, widok kraju, któryśmy przebywali, mógł zawieść oczekiwania Europejczyków żądnych wrażeń. Prawda, że od samego pobrzeża spotykaliśmy już wysmukłe euforbje, wachlarzowate akacye i kolczaste mimozy, ale żadnych olśniewających pięknością ptaszkow, ani motylów nie było widać, ani też dzikich zwierząt, któreby rykiem swoim sen nam przerywały.

Jeśli chcecie wiedzieć, co to jest życie misyonarza, wyobraźcie go sobie idącego dzień po dniu, pod palącem, zwrotnikowem słońcem. Podróż nocą, której wszyscy pragną, jest niepodobieństwem. Drogi są za wązkie i niewygodne, ludzie idący boso kaleczą nogi o ciernie i kamienie, a gdy który pozostanie w tyle, niepodobna go upilnować i zapobiedz ucieczce. Raz czy dwa, byliśmy zmuszeni do nocnego marszu, chcąc się dostać prędzej do wody i uznaliśmy to za rzecz uciąźliwszą i niebez-

piecznieję niżeli pochód nawet w samo południe. Po jednej takiej nocnej podróży, przybywszy na miejsce i zwołując ludzi, spostrzegliśmy brak jednego z tragarzy. Wysłaliśmy natychmiast na poszukiwanie oddział, który odkrył na ścieżce tylko kałużę krwi.

Było to dowodem, że człowiek nasz odłączywszy się od karawany, napadnięty został przez rabusiów i zakłóty dzidami, którzy zabrali drogocenny ładunek przez niego dźwigany, a ciało zaciągnęli w zarośla.

Drugim powodem cierpień był częsty brak wody zdatnej do picia, bo innej gęstej i czarnej, takiej, że patrząc na nią można było zadawać sobie pytanie, czy to napój czy jedzenie? nigdy nie brakowało. Czasami bywało w niej tak dużo różnych żyjątek, że jeżeli nie czuwaliśmy z niezmierną troskliwością nad chłopcem zajmującym się robieniem herbaty, mogliśmy być pewni, że jedna, lub dwie kijanki znajdą się w kociołku; czasami znów woda miewała świetną zieloną barwę. Znałem już zieloną herbatę, ale kawa zielona była nowością nie widzianą nigdzie, chyba w podróży po Afrykańskiej ziemi. W końcu przestałem zwracać uwagę na kałuże pełne ropuch i przestałem zrzędzić na widok kąpiących się ludzi i psów w tych samych wodach, skąd czerpaliśmy nasz napój. Skutkiem tego, po trzy i cztery dni nie miałem w ustach ani kropli wody.

Muszę wam też opowiedzieć przygodę jaka mnie spotkała przy przebywaniu rzeki. Ósmego Lipca spotkaliśmy pierwszy strumień. Ostrzegano nas zawczasu, żeby go nie przebywać w bród ani też nie kąpać się, bo łatwo dostać gorączki, skutkiem której zmarł niedawno człowiek, który dopuścił się podobnej nieostrożności. Ponieważ nie nadeszli jeszcze przywódzcy tragarzy, postanowiłem czekać cierpliwie, gdyż moi chłopcy ofiarowali się przenieść mnie na ręku, co dla nich nie przedstawiało żadnej trudności.

Ale pełen ambicyi Johar, mój przyboczny posługacz, chciał sam zagarnąć ten zaszczyt: porwał mnie więc na ręce i uniósł w tryumfie. Czując, że się chwieje, wezwałem go do powrotu. Napróżno! czuję, że chwieje się coraz bardziej; krzyczę na gwałt aby się wrócił, a on zamiast usłuchać pośpiesza dalej. Kołysany naprzód i w tył, jak drzewo podczas uraganu, zacisnąłem zęby i powstrzymałem oddech. Pozostali na brzegu, wołają na Jahora by wracał, lecz napróżno. Jesteśmy już na środku strumienia, nadzieja wstępuje w moją duszę, myślę że może... lecz wtem woda coraz głębsza, kamienie na dnie coraz bardziej śliskie... Johar zdobywa się na nadludzki wysiłek i... pada zanurzając mnie w wodzie wraz z sobą. Szczęściem jednak kąpiel ta nie sprowadziła mi gorączki, której się obawiałem.

Niedługo po tej przygodzie, doszliśmy do szerokiej i głębokiej odnogi rzeki *Wani*. Tu już roślinność przybiera zupełnie inny pozór i po raz pierwszy ujrzeliśmy prawdziwy las podzwrotnikowy. Olbrzymie drzewa, okryte masą pnących się roślin, w najrozmaitszych odcieniach liści; tu masy jaśminu upajającego wonią, tam wysmukłe euforbje wyprostowane dumnie, a na gałęziach drzew zwieszających się nad strumieniem, mewy czatują na błyszczącą zdobycz, przemykającą się w falach.

Tragarze nasi mieli maleńkie czółno, które skusiło mnie do małej wycieczki, ale zły duch tej krainy noszący postać krokodylów, zmusił mnie do spiesznego odwrotu.

Po trzech dniach marszu, przebyliśmy znowu tę samą, o ile się zdaje rzekę, ale znacznie już szerszą; leżało w niej przewrócone olbrzymiej grubości drzewo, mające co najmniej 150 stóp wysokości. Doszedłszy do wsi, przekonaliśmy się, że fałszywe pogłoski o naszem nieprzyjaznem usposobieniu doszły do jej mieszkańców, którzy skutkiem tego uciekli, pozostawiając tylko opustoszone chaty. W wypadkach tego rodzaju niezmiernie jest trudno powstrzymać ludzi od pustoszenia plantacyi trzciny cukrowej i drzew bananowych, bo przecież jeść potrzebują. Rabują więc, a krajowcy mówią naturalnie, że pogłoska była prawdziwą i że biali ludzie są rabusie.

Okolica ta była bardzo bagnista i tu zaczęliśmy dostawać początków febry. Widok tych bagnisk w nocy, jaśniejących tysiącami błędnych ogników był czarujący: w tych stronach także zapoznaliśmy się z drugą przyjemnością... z moskitami, których miliardy wkoło nas unosiły się.

Wśród dalszej podróży trzeba nam było znowu przebywać rzeki i znowu zdarzyła się przygoda z ambulansowym osłem do noszenia chorych. Był on właśnie pod ręką kiedym się gotował do przeprawy, mając więc już smutne doświadczenia z pomocy dwunożnego osła, chciałem spróbować czy się czasem lepiej nie powiedzie z czworonożnym. Nie miał on wprawdzie siodła ani uzdzienicy, gdyż był bardzo spokojny i łagodny; lecz gdy dostaliśmy się do strumienia, wtedy nagle zniecierpliwiony niesionym na grzbiecie ciężarem, zaczął skakać i wierzgać w celu oswobodzenia się od niego.

Przewodnik widząc moje niebezpieczne położenie, podbiegł i chwytając mnie jak piórko, uniósł ponad głową osła, ku drugiemu brzegowi.

Dwudziestego pierwszego Lipca przybyliśmy do pierwszej naszej misyi, *Mamboia*, położonej około 150 mil (angielskich) od morza. Przyjął nas tu gościnnie misyonarz pan Last i jego małżonka. Dom ich położony na stoku góry, około 3000 stóp nad poziom morza, otoczony jest malowniczemi krajobrazami. Na lewo wznoszą się wielkie skały, na których gnieżdżą się orły, ku wschodowi łańcuch gór rozciąga się szeroko, brak tylko wody żeby cały widok był istotnie czarujący.

Ziemia jest żyzna a klimat Alpejski, europejskie jarzyny udają się doskonale. Ogródek przed domem pełen był: geranii, nasturcyi, petunii i innych kwiatów pospolitych w naszych ogrodach.

Tuż koło domu znajduje się kościół, osobliwej budowy. Ściany z gliny, około sześciu stóp wysokie, pokryte pochyłym dachem z otworem we środku, z którego wznosiły się drewniane słupy, podtrzymujące drugi dach wysoko nad tym otworem. Przestrzeń otwarta pomiędzy dwoma dachami służy do przewietrzania kościoła, w którym ławek nie ma żadnych, gdyż krajowcy wolą siadać na ziemi, tylko dwa krzesła dla europejskich członków zgromadzenia.

Dwudziestego piątego Lipca wyruszyliśmy w dalszą podróż, odprowadzeni przez naszego gospodarza i jego żonę. Pochód nasz trwał długo i niewiele uszedłszy spotkaliśmy prześliczny strumień, którego fale przejrzyste były jak kryształ, ale smak wody słony, a skutek szkodliwy. Dużo podobnych źródeł i strumieni znajduje się w Afryce.

W tej stronie kraju obfitość zwierzyny jest niezmierna. Raz przebiegło naszą drogę stado antylop obłaskawionych jak baranki, ślady żyraf i większego zwierza napotykaliśmy często.

Raz dostałem się w tak gęste zarośla w lesie, że nie było innego sposobu, tylko pełzanie na czworakach śladem wydeptanym przez hyeny i drobniejszą zwierzynę. Pełzając tak, ujrzałem nagle przed sobą zwiniętą żmiję, na którą mało co nie nadeptałem. Tegoż samego dnia wracając, spostrzegłem szczególniejszy układ trawy w jednem miejscu: domyśliłem się, że to musi być zasadzka na zwierzynę, ale gdy mi przyszedł ten domysł, byłem już zadaleko i zanim zdążyłem się cofnąć, zapadłem się w głąb jamy z trzymaną w ręku nabitą i z odwiedzionemi kurkami dubeltówką. Na szczęście miałem tyle przytomności, że padając trzymałem dobrze fuzyę, która też nie wystrzeliła. Dostawszy się na dno zacząłem wołać na przerażonego mojego chłopca, Mikukę Hapana i przy jego pomocy wydobyłem się przecie z uwięzi.

Niezrażony temi przygodami, a naglony rozpaczliwą jednostajnością obiadów, składających się z twardej jak podeszwa koźliny, wyruszyłem nazajutrz przed świtem na polowanie i znowu pełzałem na czworakach nie pomnąc na żmije i jamy.

Szlak wydeptany przez zwierzęta, ciągnął się brzegiem wązkiego strumienia, ze śladami bawołów i żyraf. Przypuszczaliśmy, że bawoły kryją się w gęstych zaroślach w pobliżu. Ja z kuzynem Gordonem, szliśmy cały ranek w przedniej straży. Gordon, który miał niedawno febrę, skarżył się na znużenie i prosił mnie, żebym sam szedł dalej z jednym tylko chłopcem do noszenia strzelby; ale nie chciałem go odstąpić, mając w pamięci, że ilekroć byłem znużony lub chory, on zawsze był przy mnie żeby mnie pocieszać i pielęgnować. Zostałem więc z nim, a reszta naszych towarzyszy z dwunastoma krajowcami ruszyła naprzód. Niezadługo po ich odejściu dał się słyszeć strzał.

— Spotkali widać zwierzynę — odezwałem się.

W tej chwili odezwał się drugi strzał.

— Chyba całe stado!

Znowu strzał.

— Tak, to musi być całe stado.

Potem rozległy się znowu strzały i dopiero przyszło mi na myśl, że musieli ich napaść rozbójnicy.

— Pozostań tutaj! — zawołałem na Gordona i pobiegłem a za mną nasi chłopcy.

Strzałów padło jeszcze siedm i już nie wątpiłem, że to napad. Uspokoiłem się dopiero, ujrzawszy naszych ludzi w całości, stojących nad wodą a nieprzyjaciela ani śladu. Okazało się, że gdy nasz oddział szedł najspokojniej, pewna liczba dzikich z pokolenia *Wahumba*, rzuciła się na nich: widząc jednak, że biali są zbrojni w strzelby, napastnicy uciekli nie wypuściwszy ani jednej ze swych zatrutych strzał. Dla przyśpieszenia ich ucieczki, ludzie nasi wystrzelili na wiatr. Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, poleciłem im pozostać na miejscu w gotowości do bitwy, a sam powróciłem do Gordona wraz z chłopcami i zebrawszy wszystkich razem ruszyliśmy dalej. Gdybym był poszedł, jak mi radził Gordon, sam jeden tylko z chłopcem na poszukiwanie zwierzyny, byłbym prawdopodobnie został zabity.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z dziedziny miłosierdzia.

Miłosierdzie jest jakoby matką, która szeroko roztworzywszy ramiona, do serca swego przygarnia tłumy biednych, opuszczonych i cierpiących.

Ileż ono koi rozpaczy? ile zbrodni usuwa, ile osusza łez, gdy zstępując do wilgotnych suteryn i pnąc się po spadzistych schodkach poddaszy, niesie tam pomoc i pociechę!...

Wzniosła ta cnota, tak rozwinięta w sercach mieszkańców Warszawy, powołała już do życia niejedną instytucyę, mającą na celu nieść ulgę nędzy.

Ludzie dobrej woli i prawdziwie obywatelskich przekonań wiążą się w kółka, aby zbiorowemi siłami pracować wspólnie dla nieszczęśliwych.

Każdy rok zaznacza postęp w tej iście apostolskiej missyi, której, niby wspaniała pochodnia, przyświeca boskie słowo Mistrza: „Kochaj bliźniego!"

Nie mamy bynajmniej zamiaru kreślić dziejów dobroczynnych zakładów warszawskich, i wyliczać wszystkiego co zrobiono na tej drodze, chcemy tylko zaznaczyć fakt najświeższy:

Litując się nad losem biednych kobiet, zmuszonych ciężko pracować w tym okresie życia, w którym nadmierne trudy przynoszą krzywdę dwom istotom jednocześnie, grono zacnych osób postanowiło zająć się niemi. Rezultatem gorących obrad w tym przedmiocie jest zatwierdzone już i istniejące: „Towarzystwo opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi". Ludzie, w których umysłach powstał ten projekt, muszą bardzo miłować społeczeństwo i widocznie znają najpilniejsze jego potrzeby.

Opieka nad biedną matką! Czyż na dźwięk tych wyrazów nie staje nam w myśli jedna z owych nieszczęsnych, blada, wycieńczona, z rozpaczą w wygasłem oku a nieraz i bluźnierstwem na ustach?... O! bo ciężkie jej życie; cierpi fizycznie i moralnie, nie zna wytchnienia i wygód, spocząć jej nawet nie wolno, bo chcąc żyć, pracować musi i zarabiać na kawałek chleba.

Pomoc zesłana w takiej chwili, to najczęściej kwestya życia dwóch istot.

Towarzystwo urządza przytułki dla biednych matek, oraz dzienne przytułki dla niemowląt przy piersi zostających. Chora nie mająca w domu odpowiedniego dozoru, ani też funduszu na zapewnienie koniecznych w tym razie wygód, znajdzie tam pomoc, opiekę i umiejętny ratunek specyalisty.

W razie niemożności utrzymania dziecka na opiece matki, „Towarzystwo" starać się będzie o oddanie go na wychowanie osobom dobroczynnym, lub też o umieszczenie za opłatą u wiejskiej mamki, na rachunek Towarzystwa.

Z tej opieki korzystać będą dzieci ubogich matek, nie mające lat siedmiu.

Szlachetny cel stowarzyszenia, zakreślony szeroko, zadanie jego tak wzniosłe i święte, że należy schylić przed niem czoło.

Kobieta biedna, mężatka czyli też niezamężna, pozostawiona obecnie w ciężkich warunkach, myśli nieraz o podrzuceniu, a nawet o zabiciu dziecka. Będąc otoczoną troskliwością i opieką zastanowi się nad niedolą maleństwa, które kwileniem tylko skarży się niebu na swą rodzicielkę.

Niepodobna, by jej ta myśl nie wzruszyła; wszak i ona w tej chwili, słaba i niedołężna jak dziecię, z obcych rąk dostaje posiłek... Ludzie tacy dobrzy, myśli z rozczuleniem i płacze.

Nie, ta matka już nie porzuci dziecka.

Bo i po co? Gdy jest biedna i w żaden sposób wychować go nie może, miłosierdzie będzie mu matką.

O! święte, stokroć święte! Ono dźwiga upadłe, umoralnia spodlone, budzi uczucia szlachetne w sercach, do których tylko zwierzęce instynkta miały przystęp, podnosząc do godności człowieka drobną istotę, będącą dla matki ciężarem, którego od pierwszej chwili rada była się pozbyć.

Na przewodniczącą „Towarzystwa" zaproszono hr. Hortensyę Małachowską.

Ogólne zebranie Towarzystwa, odbyło się dnia 18 Kwietnia r. b. w salonach pani Ewy Popielowej, znanej opiekunki biednych i cierpiących.

Skład rady opiekuńczej jest następujący: panie Emilja Blochowa, hr. Julja Branicka, Julja Górska, Henryka Kucharzewska, Stefania Leowa, Marya Łempicka, hr. Hortensya Małachowska, hr. Maksymilianowa Małachowska, Ewa Popielowa, Marya Zawiszyna; panowie: Stanisław Brun, d-r Gustaw Fritsche, Aleksander Goldstand, Ludwik Górski, ks. Stefan Lubomirski, hr. Konstanty Przezdziecki, Stanisław Przystański, Stefan Spiess, Karol Szlenkier, hr. Tomasz Zamojski.

Przewodnicząca: hr. Hortensya Małachowska, a wiceprezes p. Stanisław Przystański.

W sobotę d. 18 b. m. odbyło się poświęcenie i otwarcie tej wielce pożytecznej instytucyi.

Lokal bardzo odpowiednio wybrany, personel służbowy także już w komplecie, niby armia, gotowa w każdej chwili spieszyć na nieprzyjaciela, którego imię: nędza i śmierć.

Od tej pory, wyrobnica, matka małego dziecka, pójdzie śmiało zarabiać na kawałek chleba, gdyż będzie mogła zostawić niemowlę pod opieką troskliwych dozorczyń. Nieszczęśliwa zaś, mająca za chwilę paść na twardym barłogu i przeleżeć dni albo i tygodni kilka bez opieki na zimnie i o głodzie, może kołatać śmiało do lokalu przytułku (na Marszałkowskiej pod N. 56), a znajdzie tam pomoc i opiekę. Towarzystwo rozporządza już kapitałem 17,000 rs. i składa się:

1) Z członków założycieli, którzy wnieśli jednorazowo 500 rs. lub też zobowiązali się składać po 25 rs. przynajmniej przez 10 lat z rzędu.

2) Z członków rzeczywistych, obowiązanych wnosić do kasy Towarzystwa w ciągu trzech lat z rzędu po 25 rs.

3) Z członków ofiarodawców, którzy wnoszą do kassy 5 rs. rocznie.

Oto mniej więcej skreślenie ustawy i celów Stowarzyszenia, z którego mamy prawo być dumni. A teraz szanowne Czytelniczki, czyż potrzebujemy dodawać, że powodzenie tej instytucyi spoczywa w rękach kobiet?

Chcąc rozwinąć działalność odpowiadającą zamierzonemu celowi, potrzeba rozporządzać znacznemi funduszami.

Uwielbiając szlachetną odwagę inicyatorów, którzy z niewielką stosunkowo sumką śmiało idą naprzód, my ze swej strony zanosimy prośbę do ogółu polskich kobiet, o pomoc i poparcie.

Pięć rubli! odejmijcie je od sumki przeznaczonej na suknię, okrycie, lub kapelusz—i złóżcie je na ołtarzu niedoli.

Gdy każda z was poniesie tę drobną ofiarę, fundusze urosną, instytucya rozwijać się będzie z każdym rokiem, a może Bóg da, że przyjdzie czas, w którym wzmianka o podrzuceniu dziecka, lub o samobójstwie młodej matki w Warszawie, wyda nam się potworną baśnią, której trudno dać wiarę.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA

W WARSZAWIE.

(Dokończenie.)

IV.

Zdawałoby się, że dział spożywczy wystawy, powinien-by zgromadzić wiele przedstawicielek płci pięknej. Wszak mamy dużą ilość dobrych gospodyń, umiejących przyrządzać wyborne soki, nalewki, konfitury, konserwy, przygotowywać pasztety, wędliny etc. Niektóre panie nawet, zwłaszcza zabiegliwe gosposie wiejskie, wyrabiają te specyały nietylko dla domowego użytku lecz i na sprzedaż, czego najlepszym dowodem są sklepy z produktami wiejskiemi, funkcyonujące pomyślnie, tak w Warszawie, jakoteż i w większych miastach prowincyonalnych. Tymczasem wbrew wszelkim oczekiwaniom, w dziale spożywczym na tegorocznej wystawie, znalazła się tylko jedna kobieta: pani Lucyna Ćwierczakiewiczowa z Warszawy.

Że wystawczyni ta miała się z czem popisać, to niepotrzebuje dowodzenia. Doświadczona gospodyni, autorka tylu pożytecznych podręczników gospodarstwa domowego i sztuki kulinarnej w ogóle dotyczących, pochwał nie potrzebuje.

Pani Ć. zaprezentowała wódki, likiery, nalewki, konserwy owocowe, z rydzów, oraz pasztet z prosięcia.

Oprócz tego pani Ćwierczakiewiczowa wystawiła książki gospodarcze.

Dalej znajdujemy jeszcze próbki pracy kobiecej w IX dziale wystawy, obejmującym przemysł drobny włościański. W dziale rzeczonym stosunkowo najwięcej nagromadzono okazów, gdyż znaleźli się ludzie dobrej woli, ze sfery ziemiańskiej zwłaszcza, którzy zachęcili włościan do zaprodukowania wyrobów przemysłu domowego i zajęli się przesłaniem okazów do Warszawy.

Dzięki tym właśnie ludziom, znalazły się na wystawie wyroby tkackie, jako to: fartuchy i spódnice drelichowe i wełniane, zrobione przez kobiety wiejskie z pod Grójca; bardzo ładne płótna na koszule, ręczniki, obrusy, fartuchy; materyały na ubrania mezkie, wyrobione w okolicach Skrzeszowa (pow. Sokołowski).

Te ostatnie wyroby wykonane przez włościanki i szlachcianki t. zw. zagonowe, odznaczają się trwałością i mocą.

Bardzo porządne tkaniny z własnej przędzy nadesłała włościanka Rozalja Woźniak z Bylina (powiat Rawski); a także Katarzyna Kurach, również włościanka, z pow. Garwolińskiego.

Pan Henryk Wiercieński, ziemianin, zgromadził i zaprezentował na wystawie wyroby ludności lubelskiego Nadwiśla. Znajdują się pomiędzy niemi fartuchy, pstruchy, pasy, wyroby koszykarskie, dywaniki, koszyki i bukiety.

Za staraniem pana Pieczyńskiego z Czechowa (gub. Kielecka), znalazły się na wystawie wyroby włościanek ze wsi Góry i Ostrowska.

Płótna i wełniaki tam wyrabiane, pod względem mocy nie pozostawiają nic do życzenia.

Stawili się także do popisu włościanie, a raczej włościanki, powiatu Władysławowskiego; zachęcone przez p. Stanisława Olechowskiego z Szaków (gub. Suwalska). Nadesłały one spódnice, zwane

po litewsku „indarokas”, fartuchy gotowe, materyału na fartuchy i na suknie, dywaniki zwane po litewsku „uzdangas”, pasy — „josta”, wsypki płócienne — „ipitaj”, prześcieradła z cienkiego płótna — „pakłodi” i ręczniki — „abrussas”.

Otóż i na tem koniec.

Jak widzą szanowne Czytelniczki, praca płci pięknej nie bardzo bogato była reprezentowana w dziale przemysłowym na tegorocznej wystawie.

Robótki ręczne, nieco haftów, kwiaty sztuczne, wyroby pończosznicze, trochę wyrobów włościańskich oto i wszystko.

Ktoby z wystawy tegorocznej chciał powziąść wyobrażenie o pracy kobiecej w naszym kraju, ten przyszedłby do nader smutnych, na szczęście, fałszywych wniosków; wiedząc albowiem dokładnie jak dziś rozwiniętą jest praca kobiet, w jak różnorodnych podejmowaną bywa kierunkach, łatwo poznać, że ogromna większość pracownic jaśniała na wystawie swoją nieobecnością.

Dlaczego? nie umiemy sobie tego wytłomaczyć. Czyżby panie te nierozumiały donośnego znaczenia wystaw; czyżby nie wiedziały tej prawdy, że wystawy dają mnóstwo wskazówek pożytecznych, tak co do nabywania materyału surowego, jakoteż i co do miejsc zbytu wyrobów, że one ułatwiają niezmiernie zawiązanie stosunków ze światem handlowym, wytwarzają klientelę, a wreszcie dają możność szerokim kołom publiczności, zapoznania się z wyrobami fabryki lub zakładu.

Szkoda! wielka szkoda! lecz fakt się stał i cofnąć go już nie można, spodziewamy się wszakże, że w przyszłości będzie inaczej i że na następującej wystawie znajdziemy więcej wyrobów kobiecych.

Sposobność do naprawienia złego, może się niezadługo trafi, albowiem dochodzą nas wieści, że podobno warszawskie Muzeum przemysłu i rolnictwa, gdy się już w swej nowej siedzibie (na Krakowskiem Przedmieściu obok kościoła po-Bernardyńskiego) zupełnie urządzi, ma zamiar powołać do życia specyalną wystawę pracy kobiecej. Nie jesteśmy poinformowani dokładnie, kiedy mianowicie zamierzona wystawa przyjdzie do skutku, mamy jednak nadzieję, że zgromadzi ona pokaźną liczbę wystawczyń, które zechcą dowieść, że kobiety garną się chętnie do pracy i że w tych dzisiejszych ciężkich czasach, darmo chleba nie jedzą.

Oby się ta nadzieja w zupełności sprawdziła!

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Z pracy kobiet.** Pani *Korycińska*, niegdyś współwłaścicielka „Zakładu pracy kobiet”, otworzyła na swoją rękę nową „Szkołę rzemiosł” w gmachu starej poczty.

Szkoła ta w dniu 17 b. m. w obecności dziennikarzy i zaproszonych gości uroczyście otwartą została.

Spodziewać się należy, iż osoba tak doświadczona i kompetentna, rozwinie odpowiednio szeroki program zakładu, obejmujący prawie wszystkie działy pracy kobiecej.

Panie nasze znajdą tam: krój sukien i bielizny, szycie, pończosznictwo, rękawicznictwo, szewctwo, koronkarstwo, szmuklerstwo, fryzyerstwo, haft, roboty ręczne, kwiaty, rzeźbiarstwo, drzeworytnictwo, malarstwo na porcelanie i atłasie, heliominiatury, introligatorstwo, gospodarstwo domowe, ogrodnictwo, przędzenie jedwabiu, metalorytnictwo, tokarstwo, retuszeryę, zegarmistrzowstwo i t. d.

Obecnie pani Korycińska zajęła się skompletowaniem najlepszych nauczycielek dla nowej szkoły.

Założycielce życzymy powodzenia, uczenicom zaś wytrwałości na raz obranej drodze. Wiemy dziś wszyscy, że fachowe uzdolnienie choćby jednej osoby w rodzinie, staje się nieraz znakomitą pomocą w krytycznej chwili, bo czyż może być pewniejszy kapitał nad ten, który posiadamy w pracy własnej?

Żyjemy w czasach bardzo trudnych; karyera naszych ojców po równej toczyła się drodze, dziś tyle wybojów, tyle przeszkód, że ciągle tylko zmiany na gorsze spodziewać się można. Ten kto wczoraj cieszył się jeszcze posiadaniem środków do życia, za jutro już nie ręczy; my więc przedewszystkiem starać się powinnyśmy o nabycie jakiejkolwiek specyalności, aby w danym razie stać się pomocą mężom i braciom, a nie obezwładniającą kulą u nogi, jak dotąd bywało.

Zaznaczamy również, że pani *Siwińska*, właścicielka fabryki, otwiera kurs nauki wyrobu i farbowania kwiatów sztucznych, a pani *Marya Bielecka*, założyła w Kamieńcu nad Wisłą, pracownię obuwia damskiego i dziecinnego.

*** **Dom przytułku i opieki** nad biednemi matkami i ich dziećmi, otwarty i poświęcony został dnia 18 bieżącego miesiąca.

Filantropijny ten Zakład mieści się przy ulicy Marszałkowskiej pod N-rem 56.

Całkowite jego urządzenie jest darem hr. Julii Branickiej.

Personel Zakładu stanął już na miejscu, skompletowany zupełnie. Aktowi inauguracyjnemu asystowali opiekunki stowarzyszenia, panie: hr. Hortensya Małachowska, Janowa Zawiszyna, Marya Wrotnowska, Maksymilianowa Małachowska, Marya Olszowska i Edwardowa Leowa; oraz opiekunowie: pp. dziekan Przystański, d-r Horoch, Stefan Spiess i Feliks Grabowski.

Założenie tak pożytecznej instytucyi jest faktem zbyt ważnym, byśmy na dziennikarskiej wzmiance poprzestać mogli. Pomoc niesiona biednym kobietom w dniach najtrudniejszych do przeżycia, gdy choroba połączona z niedolą obudzi rozpacz i wywołuje bluźnierstwo na usta, jest skrzydlatym aniołem, który staje u wezgłowia, by złe myśli odegnać i spłynąć balsamem na zbolałe serce.

Tygodnik jako pismo specyalnie kobiece, zamieszcza oddzielny artykuł w tej kwestyi, my zaś składamy hołd zacnym inicyatorkom, których imiona złotemi zgłoskami zapisaćby się w dziejach dobroczynności naszego miasta.

*** **Jeszcze o termomikrofonie.** Tryumf Ochorowicza jest zupełny, rodak nasz znakomitym swoim pomysłem zyskuje rozgłos i sławę, no, zapewne i majątek, bo o tem wątpić niepodobna.

Zawistni zazdrośnicy odzywali się kilkakrotnie, że pomysł ten nie jest nowym, gdyż wynalazł go p. Machalski, na co ten ostatni uczciwie i w porę odpowiedział, że do cudzych zasług przyznawać się nie myśli.

W wynalazkach Huguesa, Machalskiego i Walii, przy odtwarzaniu głosu zachodziła przeszkoda do pokonania trudna, iż natężenie i siła dały się osiągnąć kosztem jego czystości. Im głośniej aparat działał, tem dźwięki były mniej wyraźne i chrypliwe. Termomikrofon Ochorowicza trudności tych nie zna; oddaje on wyraźnie głos wszelkiego natężenia, nie zmieniając jego charakteru ani na odrobinę. Z tego właśnie powodu, lichy skrzypek lub śpiewak nie powinien się popisywać za pośrednictwem termomikrofonu Ochorowicza.

Uprzejmy wynalazca w całym szeregu niezmiernie zajmujących doświadczeń, wykazywał użyteczność termomikrofonu. Doświadczenia te, po zamknięciu wystawy, odbywały się w resursie, gromadząc liczną publikę.

Nazwa termomikrofonu powstała ztąd, iż oprócz elektryczności będącej podstawową siłą działania aparatu, do wywołania, a raczej odtwarzania dźwięków, potrzebną jest jeszcze pewna ilość ciepła, które się otrzymuje z bateryi o dziesięciu elementach, używanych przy aparatach telegraficznych.

*** **Smutny wypadek.** Kasyer banku polskiego, Stanisław Hertz, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Śmierć nie nastąpiła zaraz, lecz nieszczęśliwy męczył się przez dni kilka. Przyczyną samobójstwa były przykrości służbowe. Kasa znajduje się w zupełnym porządku, imię nieboszczyka nieskalane: był to człowiek uczciwy i zacny. Pochowanie zwłok odbyło się w poniedziałek.

Obowiązki kasyera banku, który jak wiadomo jest obecnie reorganizowany przez specyalną komisyę z Petersburga, przyjął tymczasowo p. Kowalski.

*** **Najlepszy środek.** Zgubny wpływ pokątnych doradców, owych „mecenasów chłopskich”, pijawek wysysających krwawą pracę ciemnego wieśniaka, znanym jest powszechnie. Wszyscy podziwiają łatwowierność biednego ludu, która przecież bardzo naturalnym jest objawem, bo nie mając wyobrażenia o prawie i jego zastosowaniu, chłop daje się w błąd wprowadzić i popada w matnię.

Liczba takich operatorów wzrosła w ostatnich czasach przy podwyższeniu opłaty stemplowej; robią kontrakty sprzedaży i kupna, załatwiają umowy, zamiany i t. p., zawsze niby dla oszczędzenia kieszeni klienta. Z tego źródła wypływa, w znacznej części stagnacya, która panuje w kancelaryach notaryuszów.

Pożądanem byłoby, aby po wsiach i małych miasteczkach osiedlali się adwokaci z uniwersyteckiem wykształceniem, gdyż oni tylko mogą zniszczyć tę zarazę i wytępić robaka, który niszczy dobrobyt naszych chłopków, siejąc niezgodę dla własnej korzyści.

Zaznaczamy z radością, że jeden z uzdolnionych adwokatów, zamieszkał we wsi Niedzin Duplice i udziela porad prawnych włościanom. Jakże serdecznie przyklaskujemy temu obywatelskiemu czynowi, życząc powodzenia na drodze trudnej i ciernistej. Boże ciernistą ona będzie w początkach, trudno wątpić; potrzeba tu nie małego zapasu wytrwałości, aby owych kruków odpędzić, zaskarbić sobie sympatyę ludu i jego zaufanie. Oby jak najwięcej naśladowców się znalazło!...

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Szczególna tolerancya.** Niezwykły objaw tolerancyi religijnej miał miejsce w Saint-Louis. W tamtejszym kościele protestanckim, w nieobecności pastora Eberharda, pośród licznie nagromadzonej publiczności wygłosił kazanie rabin, Sonnenschein. Rabin żydowski odczytał kilka wyjątków ze Starego i Nowego Testamentu, w kazaniu zaznaczył, że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Ojca niebieskiego i że na drodze tolerancyi religijnej znikną przesądy, które nas dzielą. Rabin zakończył nabożeństwo odmówieniem: „Ojcze nasz”. Ciekawa rzecz czy w razie nieobecności rabina, pastor zechce go zastąpić i jak to zastęp-

stwo przez żydów przyjętem będzie. W każdym razie szczególny to objaw postępu i chyba pierwszy w swym rodzaju, przynajmniej dotychczas.

*** **Syn pułku.** Podczas pamiętnej walki pod Sedanem, na polu bitwy, wśród najstraszniejszej wrzawy wojennej, przyszedł na świat chłopiec, syn markietanki.

Batalion szlązkich strzelców numer 5-ty, adoptował chłopca, który w tak niezwykłych okolicznościach ujrzał światło dzienne. Do chrztu, na którym dano mu nieznane w kalendarzu imię Sedan, trzymał go następca tronu i odtąd batalion cały jest ojcem, dbającym o jego zdrowie i wychowanie.

Młody Sedan, obecnie z polecenia chrzestnego ojca, wstąpił do szkoły wojskowej. Kto wie, może to będzie kiedyś wielki człowiek, bohater, który imię Sedanu jeszcze niejednym dla niemców tryumfem zaznaczy, w przyszłości.

*** **Instytucye naukowe amerykańskie w Turcyi.** W tych dniach odbyło się w Konstantynopolu, w słynnem „Robert College" uroczyste rozdanie dyplomów i nagród studentom tegoż zakładu.

Na akt ten przybyło przeszło 600 osób, między którėmi amerykański *„chargé d'affaires"* pan Emmet, pełnomocnik angielski sir W. de White, wielki wikary patryarchy ekumeńskiego i egzarchy bulgarskiego. „Robert College" stoi na czele zakładów naukowych, wznoszonych w Turcyi przez stowarzyszenie z Bostonu, które w tym celu wysyła do państwa tureckiego specyalnych misyonarzy.

Znaczniejsze szkoły amerykańskie znajdują się w Livas, Erzerum, Harport, Cesarea, Marasz Aintab, Alep i t. d. Pierwsze miejsce zajmuje jednak „Robert College", posiadające przeszło 400 uczniów, po większej części Bulgarów; oprócz tego uczęszczają do zakładu Grecy, Armeńczycy i mała liczba Turków.

Prawie wszyscy obecni urzędnicy bulgarscy pobierali naukę w „Robert College"; liczba profesorów instytutu na czele których stoi d-r Washburn, wynosi 30, językiem wykładowym jest angielski.

*** **Lis w kurniku.** Miasto Filadelfia zamieszkane przeważnie przez kwakrów, jest obecnie mocno oburzone z powodu niesłychanej psoty, jakiej się dopuściło dwóch zuchwałych młodzieńców. Pewien bardzo głośny i wielce szanowany pensyonat, oraz zakład wychowawczy dla starszych panienek, odwiedziły niedawno dwie Siostry miłosierdzia, zbierające jałmużnę dla ubogich i chorych.

Obu Siostrom pokazano dokładnie cały gmach do najdrobniejszych szczegółów, nie wyłączając sypialni i dano chętnie pozwolenie do zbierania składek, lub przynajmniej podpisów na składki.

Panienki złożyły hojną jałmużnę, za co od wdzięcznych Siostr miłosierdzia odbierały uściski i całusy. Te czułe objawy wdzięczności powtórzyły się jeszcze przy pożegnaniu.

Kiedy Siostry siadały do powozu stojącego przed bramą, ciekawe uczenice, chcąc jeszcze raz zobaczyć Siostry tak dobrotliwe, patrzyły z okien za odjeżdżającemi, i o, zgrozo, pod sukniami zakonnic dostrzegły męzkie buty i pantaliony. Wrzawa powszechna, przełożone dowiedziawszy się o tem nakazały dyskretne milczenie, lecz panienki zaciekawione jeszcze więcej, rozgłosiły całą sprawę, i pokazało się wkrótce, że całe to zdarzenie wynikło z zakładu, między dwiema partyami „złotej młodzieży".

Założono się o to, czy też uda się jakiemu mężczyźnie nietylko wejść do zakładu, ale zwiedzić go we wszelkich szczegółach. Stawka wynosiła 1000 dolarów, a całusy były tylko dodatkiem, gdyż w zakładzie nie wspominano o nich.

Zebrane ze składek 50 dolarów wręczono natychmiast pewnemu zakładowi sierot.

Pasztety. Wiadomo, że po strasburskich, słyną na całym świecie pasztety wyrabiane w Awinjonie. Ostatniemi czasy, odkryto w tem mieście formalną, na wielką skalę prowadzoną, hodowlę tuczenia psów i kotów. Opasy te doprowadzane bywają do takiej tuszy, że ruszać się nie mogą.

Gosposie nasze, posiadające sekret przyrządzania tych przysmaków, niech je lepiej wyrabiają w domu, zamiast kupować zagraniczne, bo każdemu z konsumujących pewno Avignon na myśl przyjdzie i popsuje apetyt.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie żałobne. Gładka spódnica kaszmirowa, z tuniką kaszmirową, szeroko obłożoną krepą. Okrycie z krepy angielskiej na jedwabnej podszewce, z tyłu krótko po za stan spadające, z przodu przedłużone w szalowe końce, pod szyją ma wysoki odstający kołnierz i ramwersy. Brzegi okrycia oszyte wielkiemi, matowo czarnemi perłami. Kapotka krepowa z rondkiem oszytem perłami, zdobna bukietem czarnych kwiatów. Długi grenadynowy woal.

Ubranie wizytowe. Odrobione z kolorowego kaszmiru, zdobne deseniową jedwabną materyą i koronką. Spódnica złożona w płaskie, szerokie fałdy, z przodu ma krótkie, bufiaste upięcie, z tyłu zaś przysłonięta jest podpinanym brytem, przyszytym z boku pod wązkim klinem z deseniowej materyi. U dołu sukni plisa deseniowa i koronka; kokarda z ciemniejszej wązkiej aksamitki. Stanik z krótką baskiną ściętą bawetowo, ma przody założone w fałdy, pod które zachodzi kamizelka z materyi. Kapelusz koronkowy z bukietem kwiatów.

OD REDAKCYI.

☞ Tom szósty pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Czerwiec już wyszedł i obejmuje:

FOTOGRAFIE SPOŁECZNE.

Mania curaciosa. — Naiwności szlacheckie. — Zęby warszawiaki. — Doraźny sąd małżeński. — Kapitan profesor. — Obrazek z miasteczka. — Będzie nieszczęście. — Spotkanie. — Aplikant dandy. — Jak pan naczelnik wygrawszy przegrał, a pan aplikant przegrawszy wygrał.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60;** za tomów 12 rs. **7** k. **20**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70;** za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20;** za tomów 12 rs. **14** k. **40**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30;** za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

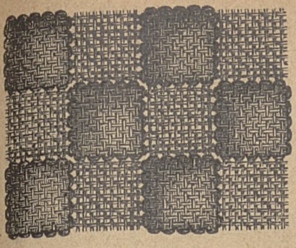
Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

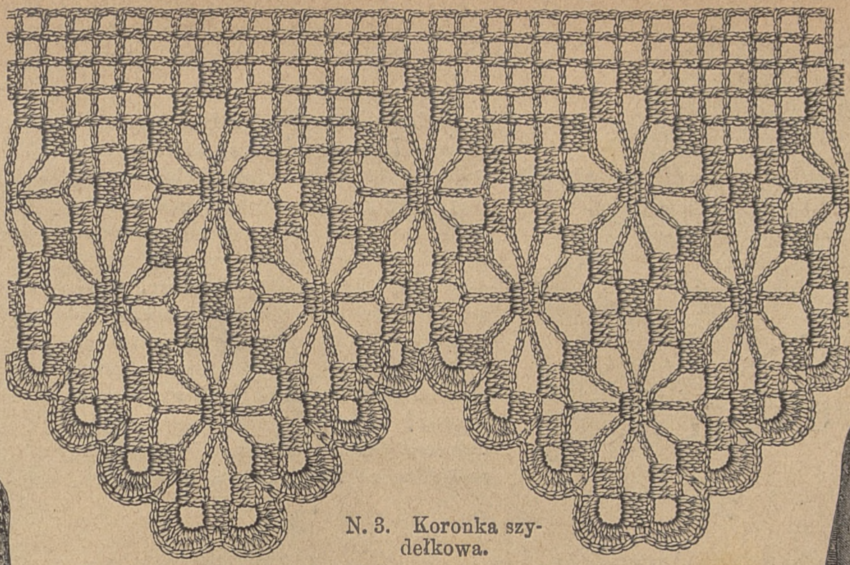
☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Іюля 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

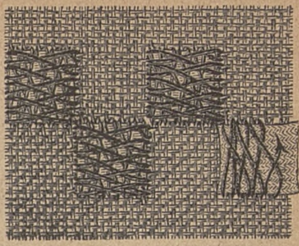
Dodatek.



N. 1. Kratka ściegiem point d'armes (prawa strona). Patrz ryc. 2 i ryc. 13 w N. 29.



N. 3. Koronka szydełkowa.



N. 2. Kratka ściegiem point d'armes (lewa strona roboty.) Patrz ryc. 1.

Opis do N-ru 29,

(Dokończenie.)

N. 33 — 35. Ubrania żałobne. Model kroju draperyi na ryc. 24.

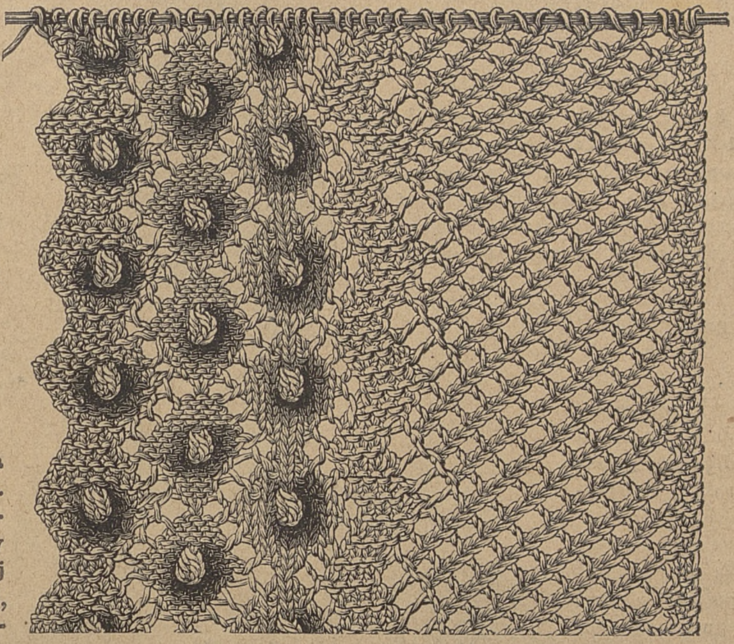
Przedni bryt sukni kaszmirowej, przedstawionej z przodu i z tyłu na r. 33 i 34, pokryty był czarną angielską krepą; na bocznych i tylnych brytach naszyte trzy plisy krepowe, stopniowanej szerokości. Model kroju i miary draperyi dajemy na ryc. 24; część przednią, przykrojoną podług *a* sfałdowaną do 30 cent. wszywa się w pasek, a brzeg tylny sfałdowany do 60 cent. łączy się z draperyą tylną. Tę ostatnią, przykrojoną podług *b*, wpuszcza się gładko z jednej strony między szew boczny od 1 do dwukropka, z drugiej strony od gwiazdki do gwiazdki składa w pukiel, a w końcach fałduje i razem ze sfałdowanym brzegiem górnym wszywa w pasek. Brzeg dolny aż do krzyżyka stanowi brzeg boczny, który przyszywa się do draperyi przedniej; część od dwukropka do krzyżyka stanowi róg spiczasty, który trzeba trochę zaokrąglić. Plecki stanika zakończone są długą, w podwójne kontrafałdy układaną baskiną; krótka gładka baskina przy boczkach i przodach podchodzi pod pasek krepowy, w trzy fałdy złożony. Ubranie na przodach i pleckach, kołnierzyk i mankiety krepowe. W miejsce używanej dotąd wyłącznie krepy, wchodzą obecnie w modę szerokie koronki wełniane, tak do ozdobienia stanika, jak i do naszycia gładko wzdłuż przodów, jak to widzimy na ryc. 35.



N. 4. Sukienka marrzczona bluzkowo, dla dziewczynki.



N. 5. Sukieneczka z paletocikiem, dla małej dziewczynki.



N. 8. Koronka robotą na drutach.



N. 6. Żabot krepowy.

N. 37. Parasolik pokryty gładko koronką.

Górna połowa parasolika pokryta jest zwierzchu atłasem a od spodu podszyta lekką materyą; na atłas daje się gładkie przykrycie z koronki, dochodzące do brzegu prętów, w dolnej połowie zostawione bez podszycia. Duża kokarda ze wstążki.

N. 38. Parasolik pokryty plisowaną koronką.

Na parasoliku pokrytym czerwonym atłasem, z białą jedwabną podszewką, dodana zwierzchu drobno plisowana koronka, u dołu spuszczona na 2 cent. szeroką falbanką, w górze ułożona w małą bufkę z nagłówkiem. Na laseczce duża kokarda ze wstążki.

Opis do N-ru 30.

N. I—3. Koronka i próbki haftu *point d'armes* do ryc. 13 w N. 29.

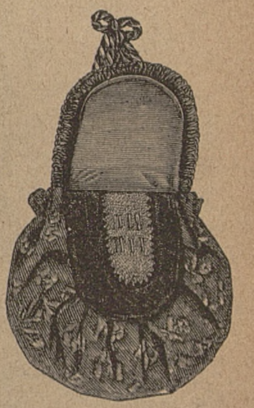
N. 4—5. Sukienki letnie dla małych dziewczynek.

N. 4. Bluzka przemarszczana.

Ażeby bluzkowa sukienka była dogodną i chłodniejszą w czasie upałów, podszewkę daje się tylko pod przemarszczany karczek, z przodu 7, z tyłu 11 c. szeroki i pod przemarszczanie na wcięciu w pasie. Stanik i spódniczka krajane razem mają (oprócz materyału dodanego na zakładki i obrąbek) 56 cent. przedniej, 60 c. tylnej długości, a 160 cent. szerokości. Szarfa z boku związana, przepięta trzema patkami 9 cent. długiemi, jest ze wstążki 6 cent. szerokiej, z której daje się także kołnierzyk i mankiety. Bluzka zapięta jest z tyłu.



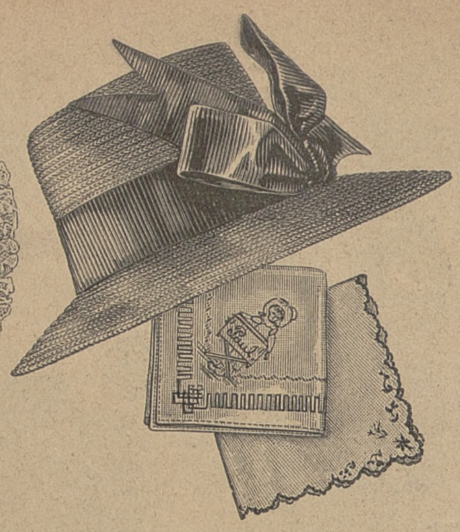
N. 9. Kwadrat robiony na drutach, na kołdrę.



N. 7. Woreczek.



N. 10. Kapotka jedwabna dla dziewczynki.



N. 12—14. Kapelusik i chusteczki do nosa, dla małej dziewczynki.

N. 5. Sukienka z paletocikowym stanikiem. Krój stanika podług ryc. 12 w N. 47 z roku 1884.

Sukienka odrobiona była z kretonu w kolorze *bleu gendarme*, którego deseń stanowiły gromady jaskółek koloru ognisto czerwonego, a kołnierzyk, mankiety i kokardy zrobione były z 6 cent. szerokiej wstążki w atłasie ciemno ponsowej w złote gwiazdki. Pod szeroko otwarte, z boku zapinane przody stanika, dodany jest bufiasty plastron. Przody 10 cent. krótsze od boczków, dopełniają pukle ułożone z 19 cent. szerokich pasków materyału i kokardy ze wstążki. Spódniczka ogarnirowana dwoma plisowanemi falbankami, zachodzącemi 10 cent. jedna na drugą.

N. 6. Żabot krepowy.

Kołnierzyk krepowy 8 cent. szeroki, ułożony w drobne fałdki, opasany jest 2 cent. szeroką wstążką kremową atłasową z małemi ażurowemi ząbkami. Dwa kawałki krepy u dołu podwinięte na obrąb, 15 cent. szeroki, mające 30 i 35 cent. długości, a 50 szerokości, stanowią dwa końce drobno sfałdowane, przyszyte do kołnierzyka pod kokardą. Krótszy zwierzchni koniec podpięty jest w górę i przewinięty wstążką 90 cent. długą, związaną u dołu w kokardę.

N. 10—11. Strojne kapelusze dla małych dziewczynek.

N. 10. Kapelusz z materyi.

Na fasoniku ze sztywnego tiulu, główka bufiasta z tyłu przypłaszczona, mająca 11 cent. wysokości, ułożona była z blado niebieskiego atłasu, pokrytego bufą z jedwabnej gazy niebieskiej, haftowanej w rzucik kolorowy, zakończona z tyłu nagłówkiem 2 c. szerokim, nad którym opasana jest wstążka do wiązania pod brodą. Rondko z przodu 7, z tyłu 3 cent. szerokie, objęte z brzegu rulonikiem z atłasu, pokryte jest zwierzchu i od spodu krepą marszczoną, zwierzchu w górze zakończoną nagłówkiem 1 c. szerokim, przykrywającym przyszycie gazy. Pomiędzy wierzch i podszewkę wpuszczona jest z brzegu riusza z podwójnej krepy, z przodu 3, z tyłu 1 cent. szeroka, ułożona z przodu w poczwórne, z boków w potrójne i podwójne, a z tyłu w pojedyńcze kontrafałdy. Kokardy ze wstążki w atłasie $2^1/_2$ c. szerokiej.

N. 11. Kapelusz słomkowy.

Do główki z przodu 10, z tyłu 8 c. wysokiej, dodane rondko z przodu 6, z tyłu 4 cent. szerokie, z tyłu w środku na 10 cent. długości nie przyszyte lecz trochę na główkę wsunięte i wygięte.



N. 27. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem.



N. 21. Suknia z bluzką i paskiem bawetowym.

Główka pokryta jest bufiasto okrągłem denkiem z deseniowego tiulu, w którego obrąbek 3 cent. szeroki, nawleczona jest wstążka niebieska repsowa; końce tej wstążki, związanej na kokardę, przeciągnięte są przez otwór rondka. Trzy krótkie piórka strusie, przypięte na brzegu główki, spadają z tyłu za rondko.

N. 12—17. Kapelusze, chusteczki i rękawiczki dla dziewczynek.

Ryc. 12 przedstawia kapelusz okrągły ryżowy z szerokiem rondem, ubrany wstążką ottoman 6 cent. szeroką. Na ryc. 13 dajemy chusteczkę płócienną ze szlaczkiem i narożnikiem kolorowym, a na ryc. 14 chusteczkę batystową z narożnikami haftowanemi i ząbkami dzierganemi kolorem niebieskim i ponsowym. Na ryc. 15 widzimy kapelusz cienki słomkowy, ciemno ponsowego koloru z wysoką spiczasto zakończoną główką i rondkiem



N. 25. Kapotka koronkowa.



N. 18. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 28 w N. 29. N. 19. Suknia z bluzką. N. 20. Ubranie dla chłopczyka lat 4—6.



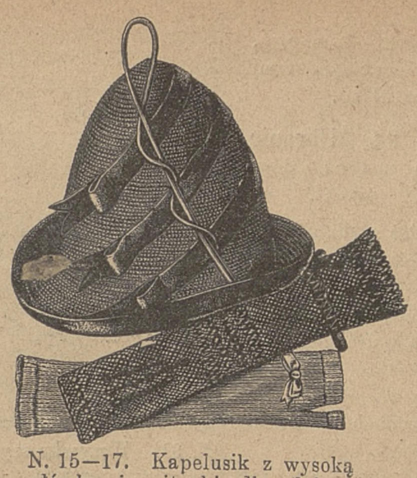
N. 23. Ubranie letnie z krótkim stanikiem. Patrz ryc. 8 i 23 w N. 29. N. 24. Ubranie małej dziewczynki.

w górę podwiniętem, podszytem aksamitem; na główce dane skośnie trzy wązkie aksamitki, które z jednej strony przeciągnięte są pod spód przez słomkę, z drugiej zakończone zwierzchu pukielkiem z krótkim końcem i przepięte agrafką w kształcie szpicruty. Ryc. 16 przedstawia długą mitenkę trykotową, a ryc. 17 mitenkę jedwabną siatkową.

N. 18—19. Ubrania dla niedorosłych panienek.

N. 18 i ryc. 28 w N. 29. Suknia z baskiną. Krój draperyi na ryc. 28 w N. 29.

Model odrobiony był z szafirowej alpagi; spódniczka ułożona w fałdy 7 cent. szerokie, naszyta jest 8 razy sutaszem białym, a u góry ozdobiona krótką draperyą, do której miary i wskazanie kroju dajemy na ryc. 28 w N. 29; litera *a* przedstawia połowę przodu, a *b* połowę tylnej draperyi; fałdy oznaczone są krzyżykami i punktami. Pod otwarte przody stanika dodany jest plastron 8 cent. szeroki, naszyty sutaszem, zarówno jak kołnierz i mankiety. Plecy zakończone są fałdowaną baskiną.



N. 15—17. Kapelusik z wysoką główką i mitenki dla dziewczynek.



N. 11. Strojny kapelusik słomkowy dla dziewczynki.

N. 19. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Przy sukni z etaminy w kolorowy rzucik, spódnica wkoło fałdowana, naszyta jest u dołu szerokim żółtawym haftowanym szlakiem. Kołnierzyk stojący, pasek i mankiety są ze wstążki 6 cent. szerokiej, a szarfa z szafirowej repsowej wstążki, 25 cent. szerokiej.

N. 20. Ubranie dla chłopczyka lat 4—6. Krój podług ryc. 1 w N. 23 Tyg. Mód.

Ubranie odrobione z szafirowej alpagi, zdobiły rzędy stębnówki i złocone guziki. Krótkie majtki przyszyte są z przodu do 31 cent. długiego bluzkowego stanika, zmarszczonego przy wykroju szyi i u dołu; zeszycie przykrywa szarfa z kawałka szafirowej materyi 27 cent. szerokiego a 34 długiego, sfałdowanego na gładkiej podszewce do 13 cent., wszyte pomiędzy szwy boczne stanika. Żakietka z 13 cent. szerokim kołnierzem zapięta jast w górze pod kokardą.

N. 21. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Odrobiona z żółtawej etaminy, przybrana jest koronką bogato naszytą perłami, zamiast której można użyć szlaku haftowanego świecącemi nićmi



N 22. Suknia z kamizelką.

stalowemi. Plecy bluzki są gładkie, przody zaś marszczone podług ryc. 21; zwracamy uwagę na oryginalny pasek bawetowy, którego wązkie końce zapięte z tyłu na kryte haftki. Draperya długa fartuszkowa z przodu, z tyłu sfałdowana z długich prostych brytów. Kapotka tiulowa zdobna fijołkami.

N. 22. Suknia z plastronem.

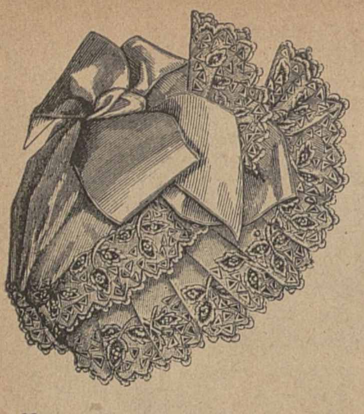
Krótki stanik ścięty bawetowo, ma przody szeroko otwarte, założone w dwie płaskie fałdy i oszyte koronką wełnianą; od spodu podsunięty plastron z jasnej materyi. Zapięcie stanika dane niewidocznie z boku. Spódnica à la paysane zaszyta u dołu w trzy lub cztery zakładki; ubranie to uszyte z popielatego wełnianego materyału z takąż wełnianą koronką. Kapelusz



N. 26. Kapotka słomkowa.

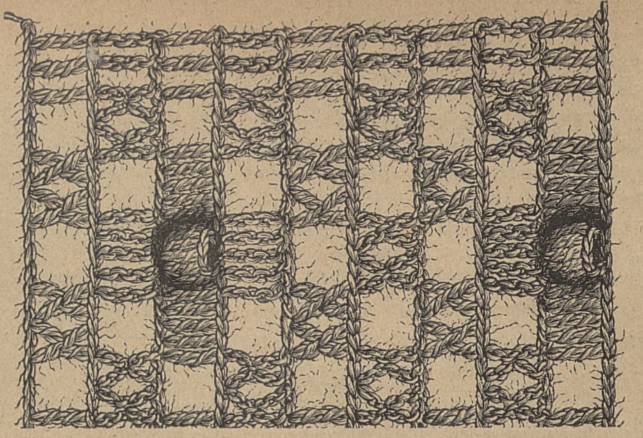


N. 28. Ubranie negliżowe.

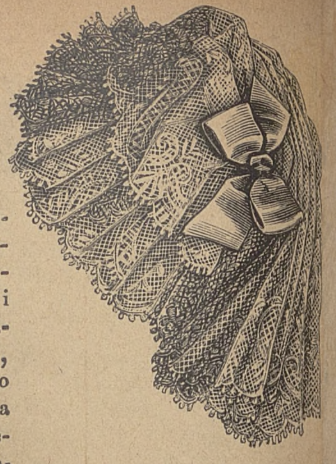


N. 29. Negliżyk z haftowaną falbanką. Patrz ryc. 27 w N. 29.

czarny słomkowy, zdobny popielatemi skrzydłami.



N. 31. Wszywka szydełkowa, naśladująca koronkę wełnianą.



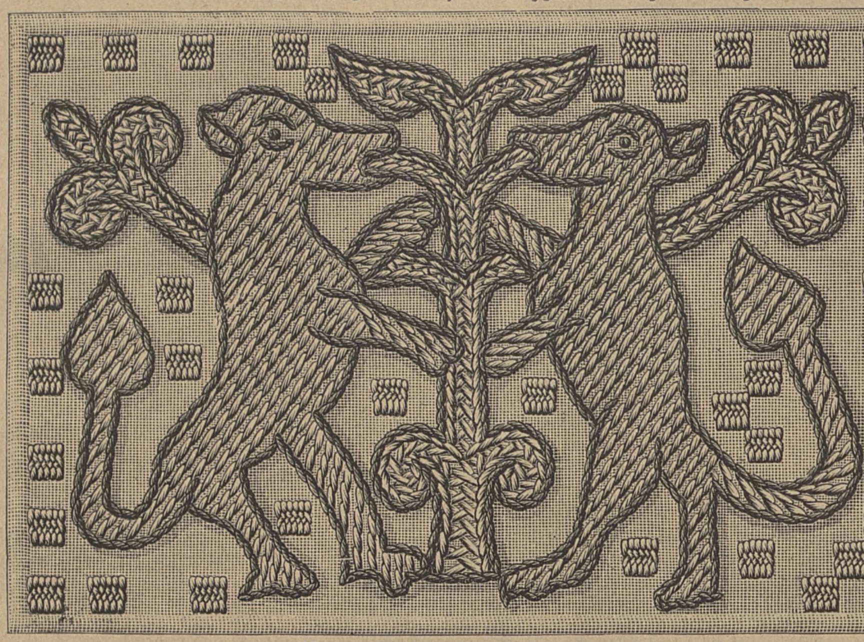
N. 30. Negliżyk z koronki.

N. 24. Ubranie dla małej dziewczynki.

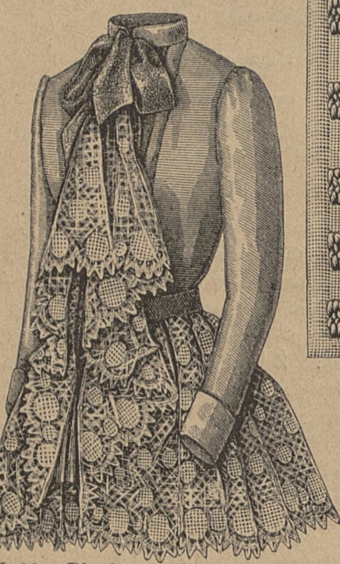
Na gładko dopasowanej podszewce, materyał zwierzchni różowy zefir ułożony jest w drobne zakładeczki, schodzące się do środka na przodach i plecach. Przybranie naszyte w formie karczka, stanowi haft maszynowy na tle bordeaux, który można zastąpić koronką; kołnierzyk stojący, mankiety i dolny brzeg sukienki oszyte haftem lub koronką.

N. 25. Kapotka koronkowa.

Fasonik petynetowy, pokryty czarną koronką chantilly 12 cent. szeroką. na przy-



N. 32. Haft w guście starożytnym rzymskim.

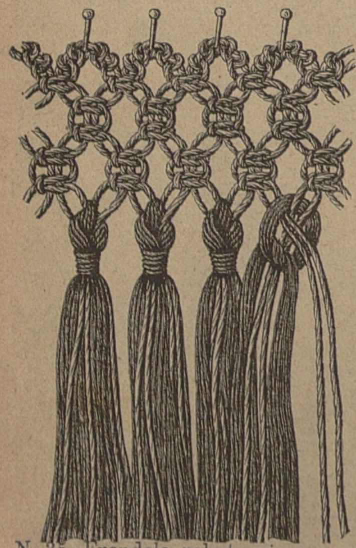


N. 33. Bluzka negliżowa z przypinanem karoczkiem. Patrz ryc. 34.

branie i końce potrzeba 150 c., kokarda pod brodą ułożona z kawałka 50 cent. szerokiego. Suta riusza, którą podgarnirowane rondko, ułożona jest z drobno plisowanego żółtawego tiulu; kokarda z wstążki atłasowej w aksamitne paski.

N. 26. Kapotka słomkowa.

Fasonik z oliwkowej słomki z prostą główką 7 cent. wysoką i rondkiem z przodu 6, z boków 2 cent. szerokiem, wywiniętem z brzegów, przybrany jest tiulem pistacyowego koloru. Słomkowe listeczki naszyte na rondku pokrytem fałdowanym tiulem; końce do wiązania z tiulu złożonego we czworo, krótko zapięte okrągłą kokardą z czterech pukli po 26 c. szerokich, 11 długich. Bukiet z maku, bzu czarnego i liści jasno zielonych.



N. 35. Frendzla robotą wiązaną macramé.

N. 27. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem.

Model przedstawiony na ryc. 27 odrobiony był z kosztownego materyału—etaminy w paski jedwabne przerabiane złotem, na zielonej jedwabnej podszewce; do podróży lub do codzisnnego ubrania właściwa jest gładka etamina, loden lub t. p. wełniany materyał. Luźne przody krają się o tyle szerzej, ile wymaga szerokość wykładów, podszytych materyą; boczki gładkie zwykłą formą krajane w całej długości; plecy krają się tylko do wcięcia stanu, a niżej dopełnione są prostemi brytami ściśle zmarszczonemi. Kapturek z materyału zwierzchniego i podszewki, układa się z kawałka 90 cent. długiego, w środku 12 c. szerokiego i sfałdowanego wzdłuż na 20 c. przyszytego do pleców, a końcami wpuszczonego w szwy na ramionach. Szerokie rękawy krają się dłużej i wywijają w wykłady. Przody zapięte na haftki tylko na 15 c. wzdłuż.



N. 38. Frendzla robiona z perełek do ryc. 11 w N. 29.



N. 37. Wyszycie krzyżykowe i robota, do fartuszka ryc. 21 w N-rze 29.

N. 28. Ubranie negliżowe.

Uszyte z perkalu w paski czarne, ponsowe i białe, ma spódnicę pokrytą trzema plisowanemi wolantami, w pasy obrócone poprzecznie; na staniku zaś idą podłużnie. Plecy krajane do figury, przody luźne obciśnięte paskiem danym od boków. Czepeczek z fularu w paski. Pantofelki z lakierowanej skórki, pończochy ponsowe.

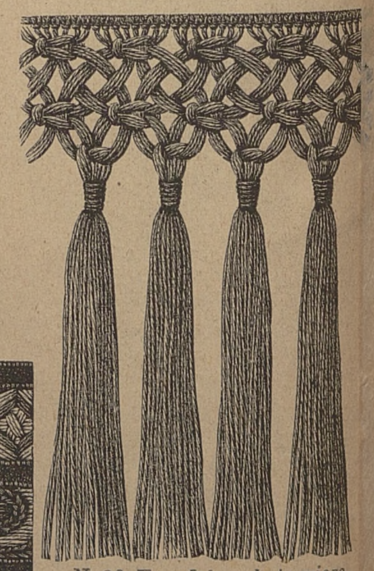


N. 34. Bluzka negliżowa z przypinanem karoczkiem. Patrz ryc. 33.

N. 29. Negliżyk z haftowaną falbanką. Patrz ryc. 27 w N. 29.

Podstawę czepeczka kraje się ze sztywnego tiulu, dając denko podług miary wypisanej na r. 27 w N. 29 i wszywając je lekko nafałdowane w pasek z podwójnego tiulu z przodu 36 z tyłu 17 c. długi, 3 c. szeroki, oszyty drucikiem i objęty wstążeczką. Wkoło brzegu przyszywa się falbanka haftowana (3 cent. szeroko wysunięta za pasek) 10 cent. szeroka, 90 c. długa, z boków rzadko plisowana, nad czołem ułożona w potrójną kontrafałdę. Drugi kawałek falbanki 66 cent. długi, przyszywa się na brzegu denka z boków gładko na środku sfałdowany; denko pokryte różową wstążką zmarszczoną u dołu, u góry ułożoną w dużą kokardę.

D. n.



N. 36. Frendzla robotą wiązaną, odpowiednia do grubszej bawełny.



N. 39. Haft do ryc. 15 w N-rze 29.